

Przechylna daleko za okno, zawołała wreszcie:

— Mickiewicz! Mickiewicz! Mickiewicz!!

Ani jednego słowa więcej. Odebrało jej głos. Same łzy.

Przytula mnie do piersi, drugą ręką garść po garści ciska i ciska i rzuca. Kwiaty lecą, — ona jeszcze i jeszcze i ciągle, — rzuca ciągle, — bez końca.

Widzę dotąd różową gwiazdę jej dłoni na niebie, gałązki zielone, które z palców spadają i w szumie śpiewu — pagórek kwiatów pod domem...

Juljusz Kaden-Bandrowski

NASZ WIELKI MECZ

Kiedy grywałem w piłkę nożną, nie było jeszcze sławnych dziś drużyn Pogoni, Cracovii,¹ Warty i Polonji, nie było boisk wspaniałych, nie znano pięknych kostjumów, ani nie wiedziano o prawidłach gry. Co mówię! Nie znano słowa „mecz“.

Niemniej przeto graliśmy w piłkę ową z zapałem, a siwe oczy doktora Jordana,² przechadzającego się po krakowskim parku zabaw, błyszczały zadowoleniem i radością, gdy taki Staszek Mól kręcił słynnego „wózka“, wodząc za nos cały korowód przeciwników. Przystawał też nieraz sędziwy doktor przy naszym boisku z rękami, wtył założonemi i, bywało, rozstrzygał niejeden spór, powstały podczas gry. Znał zresztą wszystkich nas niemal po imieniu. I któż z nas przypuszczał, że mały ten staruszek był wielkim obywatelem kraju, który całą swą wielką wiedzę, cały majątek i życie całe poświęcił dla zdrowia, siły i wesela młodego pokolenia!

Lecz wracajmy do rzeczy! Przecież grając w ową słynną, krakowską piłkę, wiedzieliśmy już to i owo o piłce „angielskiej“, grywanej zagranicą. Uświadamiał nas o niej Mól, który od czasu do czasu dostawał skądś gazety sportowe. Raz przyniósł nawet niemiecką książkę z dokładnym opisem gry. Odczytaliśmy ją z uwagą w najgłębszym zakątku parkowym i spodobała nam się bardzo, choć nie rozumieliśmy wszystkiego.

Pod wrażeniem tego dzieła założyliśmy też natychmiast

¹ czytaj: Krakowji (po łac.); ² Henryk Jordan, znakomity lekarz, założyciel słynnego parku zabawowego własnego imienia w Krakowie.



w zakątku owym klub piłkarski. Nazwaliśmy go „VI b“, bo partja nasza składała się w przeważnej części z uczniów szóstej klasy oddziału „b“ jednego z gimnazjów krakowskich. Sam Mól został prezesem klubu i kapitanem drużyny.

Posiadłszy nowe arkana¹ gry, postanowiliśmy niezwłocznie rozegrać decydujące spotkanie z partją Regera, która w parku cieszyła się sławą prawie tak wielką, jak nasza. Regerów, imieniem Benek czyli Benedykt, był tem dla partji swej,

czem dla nas Mól. Gracz niezły i zawadzaka nie mniejszy, przechwalał się on, że w piłce przewyższa Mola nieporównanie. My oczywiście byliśmy odmiennego zdania. Reger strzelał coprawda ostro, potykał się w polu zażarcie, ale o sprawności, z jaką Mól przeprowadzał piłkę z jednej bramki pod drugą, nie miał najmniejszego pojęcia.

Spotkania nasze z Regerem należały zawsze do największych wydarzeń w parku i prawdę mówiąc, kończyły się zwyczajnie bójką. A w bójce, niestety, miał Reger pewną nad Molem przewagę.

Tem bardziej paliła nas teraz żądza zadania mu dotkliwej klęski. Poćwiczyliśmy dni parę i rozegraliśmy mecz, który przyniósł nam chlubne i niezaprzeczone zwycięstwo. Reger i jego partja zeszli z boiska, zmiażdżeni raz na zawsze. Haniebna klęska 5 : 0 dotknęła ich do tego stopnia, iż wynieśli się nawet z parku Jordana. Czas pewien sądziliśmy, iż wogóle przestali grać w piłkę. Tymczasem zwolennicy nasi, a była ich teraz rzesza ogromna, donieśli nam, że Reger wyniósł się tylko na błonia podmiejskie i połączywszy się tam z jakimiś andrusami,² ćwiczy piłkę od rana do wieczora.

Cokolwiek jednak działałoby się z Regerem, my, „VI b“, zawładnęliśmy parkiem niepodzielnie. Łatwe zwycięstwa, jakie

¹ tajemnice, sekrety; ² ulicznikami (miejscowe wyrażenie krakowskie).

odnosiliśmy teraz nad przeciwnikami, zjednały nam sławę niepokonanej drużyny, ale z drugiej strony zahamowały rozwój naszego nowego systemu gry. Po prawdzie nie trzymaliśmy się go nawet zupełnie. Jaki taki porządek panował tylko w początku gry. Później zaś, jak kto chciał. Każdy pałał ambicją zrobienia paru bramek i porzuciwszy wyznaczone stanowisko, strzelał je też rzeczywiście. Nawet bramkarz, gdy mu się znudziło wystawanie na miejscu, porywał piłkę i jechał z nią aż pod bramkę przeciwnika. Mogliśmy sobie pozwolić na takie wybryki, gdyż zwycięstwo towarzyszyło nam nieodłącznie.

Reger ćwiczył tymczasem za górami i lasami.

Aż dnia jednego nadjechał do Krakowa amerykański cyrk Barnuma i rozbił namioty na podmiejskich błoniach. Ogromny tabor¹ wozów, mieszczący stajnie, menażerję i inwentarz² cyrkowy, mrowie ludzi, kręcących się przy budowie cyrkowego namiotu, cudacznicy artyści z całej kuli ziemskiej, przechadzający się dokoła budowy, sam wreszcie dyrektor Barnum na koniu wspaniałym: wszystko to pochłoneło naszą uwagę tak dalece, iż zapomniawszy o parku i piłce, dni całe spędzaliśmy na błoniach pod cyrkiem.

Szczególnie pociągała nas menażerja. Słoń zjadał wszystkie nasze bułki, dla nosorożca wykradaliśmy marchew z domu, raz Mól przyniósł nawet dla tygrysa kość jakąś ogromną. Dozorcy zwierząt opędzali się od nas wszelkimi sposobami, nie mogli jednak wskórać wiele, gdyż oblegaliśmy klatki, jak szarańcza, a wśliznąć potrafiliśmy się wszędzie, jak wąż.

W kilka dni po przybyciu cyrku, kiedy swoim zwyczajem zgromadziliśmy się, jak jeden mąż, pod ogrodzeniem z świeżo wypuszczonemi żyrafami, przypadł do nas jeden z kolegów, co tchu w piersiach.

— Stach, — woła do Mola — barnumczycy grają w piłkę.

— Gdzie? — skoczył doń Mól.

— Tam z tyłu za namiotem!

— Lecimy — zawołaliśmy zgodnie i ponieśliśmy się, jak wiatr, na tyły cyrku.

Za namiotem na boisku, równo wytyczonem i ogrodzonym liną, grali rzeczywiście w piłkę nożną artyści Barnuma. Cwi-

¹ tu: wszystkie wozy cyrkowe; ² tu: przedmioty, należące do cyrku.

czyli do jednej bramki, w której stał murzyn ogromnego wzrostu. Do pomocy miał dwóch atletycznych¹ Amerykanów, przeciwko sobie napad, złożony z wszystkich narodowości świata. Był tu i Indjanin, chodzący w zawody z najszybszym koniem, był Chińczyk, zwany królem kuglarzy, był brzuchomówca rodem z Czech i Włoch, który na rowerze zjeżdżał po drabinie. I jeszcze jakichś dwu drągali, bliżej nam nieznanych, z których jeden okazał się później palaczem od maszyn, a drugi cyrkowym kasjerem.

Nie mówiąc ani słowa, stanęliśmy przy sznurze z otwartymi gębami. Było też na co patrzeć. Cyrkowcy grali nibyto odniechceni, a przecież piłka chodziła od nogi do nogi z precyzją² niewypowiedzianą, a strzały, które łapał murzyn, mogłyby zabić wołu.

Zaledwie otrząsnęliśmy się z pierwszego wrażenia, uderzył nas widok inny, niemniej niespodziewany. Oto za sznurkiem, po drugiej stronie boiska, stał na czele swej partji Benek Reger, przypatrując się w skupieniu grze barnumczyków. Lekceważące spojrzenia, jakie rzucał na nas od czasu do czasu, świadczyły, iż nie uszliśmy jego uwagi.

— Widzisz go? — szepnąłem do Mola.

— Aha — syknął przez zęby.

— Mól — wpadłem na pomysł zuchwały — chcesz mu zrobić na złość?

— No?

— Wyzwij tych barnumczyków! Niech się wścieka!

Mól zamyslił się, rzucił złowrogie spojrzenie na Regera, zerknął z podełba na murzyna i spytał głosem chrapliwym:

— A pójdiesz ze mną na boisko?

— Pójdę — odparłem, choć duszę czułem na ramieniu.

Tak przeto na oczach Regera i jego kliki³ wyzwaliśmy w łamanej niemczyźnie klub Barnuma w osobie kapitana, którym, jak się okazało, nie był murzyn ogromny, ale właśnie Chińczyk maleńki. Kapitan przyjął, śmiejąc się, wyzwanie i wyznaczył mecz na jutro o godzinie trzeciej po południu.

No i cóż? Przegraliśmy sromotnie, różnicą jakiejś niesłychanej ilości bramek, 12 czy 15:0 — już nie pamiętam. Ani

¹ silnych, muskularnych; ² z dokładnością; ³ towarzystwa, otoczenia.

nie pomnę, co się działo z nami od chwili, gdy padła czwarta bramka, gdy Mól stracił ochotę do gry, a my straciliśmy głowy. Krótko mówiąc, spadł na nas deszcz bramek, tem haniebniejszy, iż wszystko to działo się wobec tłumu kolegów, którzy na wieść o niezwykłym spotkaniu przybyli ławą na błonia.

Tem silniej jednak zarył się w pamięci mojej wypadek, jaki się zdarzył po meczu. W chwili mianowicie, gdy zgnębieni, poniżeni i zawstydzeni ostatecznie, schodziliśmy z boiska przez żywą a milczącą bramę widzów, zastąpił nam drogę Reger. Wygląd miał groźny i poważny, a oko jego przenikliwe uderzyło widącego na czele nas Mola. Ten przystanął, ścisnął kuliaki i zmierzył go od stóp do głów, zdecydowany na wszystko.

— Czego? — zachnął się na zawalidrogę.

— Staszek! — odpowiedział Reger dziwnym głosem. — Dasz się tak? Staszek! — powtórzył, ujmując za ramię Mola, który oniemiały, jak my wszyscy, wytrzeszczył nań oczy. — Musisz ich wyzwać na rewanż¹. No! Opamiętaj się, Stach! Ja ci pomogę. Pokażemy im! Prawda, wiara? — ogarnął nas i swoich wzrokiem rozgorzałym.

W duszach naszych nastąpił zwrot nieoczekiwany. Zwartym murem stanęliśmy dokoła tego znienawidzonego przed chwilą Regera, a Mól, podniósłszy oczy zgnębane, rzucił mu się pełen zapału na szyję.

— Zagramy rewanż, Benek! — zawołał drżącym głosem.

— Hurra! — ryknęliśmy zapalczywie.

— Hurra! — ryknął jednym głosem tłum kolegów.

Za chwilę uszykowaliśmy się w pochód milczący, na czele którego kroczyli Benek i Staszek, niosąc wyzwanie do cyrku. I nikt nie ustąpił z pod bram cyrkowych, zanim wodzowie nasi nie wyszli z nich z wieścią, iż rewanż jest przyjęty.

Na wielkie to spotkanie wystawiliśmy drużynę, złożoną z partji naszej i Regera, i ku nieopisanemu entuzjazmowi² tłumów, odnieśliśmy nad cyrkowcami zwycięstwo, różnicą jednej bramki. Kapitan Barnuma uściskał po meczu Mola i Regera, dwu bohaterów dnia, a murzyn wyniósł ich z boiska na własnych ramionach. Pozyskali nas tem tak bardzo, iż rozeegraliśmy z nimi kilka meczów, wymieniając nawzajem graczy.

¹ odwet, odwzajemnienie, odpłata; ² podziwowi, zachwytowi.

Warto tu wspomnieć, iż kasjer obdarzył nas przytem całą paczką bezpłatnych biletów do cyrku.

Zaś w tydzień po odjeździe Barnuma założyliśmy prawdziwy już klub piłkarzy, który powstał ze zlania partji Regera z naszą. Mól i Reger byli naturalnie głównemi klubu ostojami.

Ferdynand Goetel



ANIOŁY MATEJKI

Złotych muzyk nas wyuczył i tęczowej arji,
Potem na kościelne ściany dał do Panny Marji.

Kazał, byśmy w prezbiterjum smukle ulatali,
Nie tutejsi, lecz powietrzni i z kolorów cali.

I kazał nam grać „li-li-li“ na świetlistych smykach,
(Był zgarbiony już i stary, o srebrnych kosmykach).